

ZADANIE: Napisz wypracowanie pod tytułem

PRAWDZIWE ZNACZENIE SMEKODNIA

Czym jest Smekodzień? Jak to święto zmieniło się w ciągu roku, który minął, odkąd obcy odlecieli? W argumentacji możesz wykorzystać własne doświadczenia z inwazji obcych. Możesz załączyć rysunki lub fotografie.

Wszystkie wypracowania zostaną wysłane do Komitetu Narodowej Kapsuły Czasu w Waszyngtonie. Komitet wybierze zwycięską pracę, która zostanie zakopana w Narodowej Kapsule Czasu i wydobyta za sto lat.

Prace muszą liczyć co najmniej pięć stron.

Gratuity Tucci
Gimnazjum
im. Daniela Landry'ego
8 klasa

PRAWDZIWE ZNACZENIE SMEKODNIA

To był Dzień Przeprowadzki.

Powinłam to pisać wielkimi literami? Nigdy wcześniej nie pisałam czegoś takiego wielkimi literami, ale teraz Dzień Przeprowadzki jest świętem narodowym i tak dalej, więc pewnie jednak powinłam.

Wielkimi literami.

Dobra.

To był Dzień Przeprowadzki i wszyscy wariowali. Pamiętacie. Panował chaos, ludzie biegali z rękami pełnymi rodowej porcelany i albumów ze zdjęciami, nosili jedzenie i wodę, a także dzieci i psy, ponieważ zapomnieli, że dzieci i psy potrafią same się poruszać. Istne szaleństwo.

Pamiętam jedną kobietę z lustrem i myśl: „Po co ratować lustro?”. A potem patrzyłam, jak biegnie ulicą, trzymając lustro

w obu rękach wyciągniętych przed siebie, jakby ściagała wampir. Widziałam grupkę białych mężczyzn przebranych za Indian, wzniesających ogień i wrzucających herbatę do kanałów ściekowych. Mężczyznę, który trzymał nad głową szachownicę jak kelner tacę, rozglądającego się po chodniku i krzyczącego w kółko: „Czy ktoś widział czarnego gońca?”. Pamiętam, że Apokaliptyczny Hal stał pod pralnią. Hal był ulicznym kaznodzieją, który pracował w pobliskim barze rybnym. Zazwyczaj nosił na sobie tablicę na ceny kanapek zapisaną cytataми biblijnymi i wykrzykiwał do przechodniów gniewne: „Koniec świata jest bliski!” i „Kanapka z rybą za pięć dolarów!”. Teraz na tablicy widniało jedynie: „A NIE MÓWIŁEM?”, a Hal wydawał się raczej zaniepokojony niż gniewny.

– Miałem rację – powiedział, kiedy go mijałam.

– Co do ryb czy apokalipsy? – zapytałam. Ruszył za mną.

– Obu. To powinno się liczyć, prawda? Że miałem rację?

– Nie mam pojęcia.

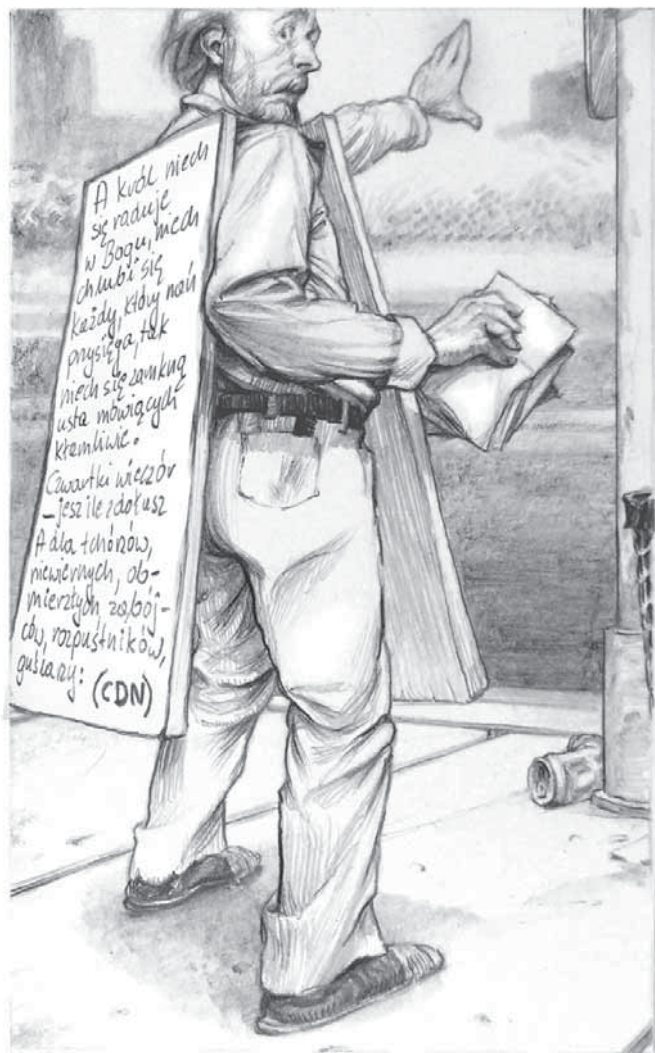
– Nie sądziłem, że to będą kosmici – wymamrotał. – Myślałem, że aniołowie z płonącymi mieczami. Coś w tym rodzaju. Ej! A może to są aniołowie? W Dobrej Księdze mają czasami niezłe pokręcone opisy. Na przykład ten anioł w Apokalipsie z trzema głowami i na kołach.

– Myślę, że to są po prostu kosmici, Hal – odparłam. – Przykro mi.

Apokaliptyczny Hal zatrzymał się, a ja poszłam dalej. Po kilku krokach zawołał za mną.

– Ej! Dziewczyno! Nie potrzebujesz pomocy w noszeniu rzeczy? Gdzie twoja śliczna mama?

– Właśnie do niej idę! – odkrzyknęłam, nie odwracając się.



A kubi mech
se raduje
w Bogu, mech
chłubi się
każdy, który nań
prysięga, tak
mech się zankną
usta mówiących
kramlinc.
Czarutki wieszor
- Jesz ile radusz
A dla tchórnów,
miewie mech, ob-
mierzytych zabo-
jczy, rozpuszników,
gusłarzy: (CDN)

Hal (przed inwazją)

– Dawno jej nie widziałem!

– Wszystko u niej okej! Zaraz się z nią zobaczę! – odpowiedziałam. To była nieprawda.

Byłam sama, bo mama została już wezwana na statek kosmiczny przez sygnały z pieprzyka na karku. Zostałam tylko ja i moja kotka, a mówię wam, nie czułam do niej zbyt dużej sympatii. Niosłam ją przez chwilę, ale wierciła się jak torba pełna ryb, więc postawiłam ją na chodniku. Szła za mną, robiąc uniki, kiedy ktoś przebiegał lub odzywał się klakson samochodu – co działało się bez przerwy. Dreptała tak: krok-krok, skok, krok-krok, skok, jakby wykonywała jakiś taniec. W końcu obejrzałam się za siebie, potem się rozejrzałam, ale jej już nie było.

– Dobra – powiedziałam. – Żegnaj, Świnko.

I tyle. Moja kotka nazywa się Świnka. Powinnam była zapewne o tym wspomnieć.

W pisaniu dla ludzi z przyszłości najdziwaczniejsze jest to, że nie wiadomo, ile trzeba wyjaśniać. Czy w waszych czasach nadal hodzi się w domu zwierzątka? Macie wciąż koty? Nie pytam o to, czy koty nadal istnieją – teraz mamy tyle kotów, że nie wiadomo, co z nimi począć. Ale ja naprawdę nie piszę tego dla ludzi z *teraz*.

Chodzi mi o to, że jeśli ktoś poza moim nauczycielem kiedykolwiek przeczyta te słowa, to tylko dlatego że wygram ten konkurs, a moje wypracowanie zostanie zakopane w kapsule czasu razem ze zdjęciami i z gazetami i wykopane za sto lat, a wy może będziecie to czytać w pięcionożnym fotelu, pogryzając pieczoną planetę albo coś w tym rodzaju. I wydaje się, że powinniście wiedzieć już wszystko o moich czasach. Ale potem myślę sobie, jak bardzo mało wiem o roku 1913, więc może powinnam jednak co nieco wyjaśnić.

Ta opowieść zaczyna się w czerwcu roku 2013, jakieś pół roku po przybyciu obcych – Boowów. Czyli również pół roku po tym jak kosmici całkowicie nas podbili i mniej więcej tydzień po tym jak uznali, że cała ludzkość będzie szczęśliwsza, jeśli przeprowadzi się do jakiegoś odległego państwa, gdzie nie będzie sprawiać kłopotów. Mieszkałam wówczas w Pensylwanii, a Pensylwania znajdowała się po wschodniej stronie Stanów Zjednoczonych. Stany Zjednoczone były wielkim krajem, gdzie wszyscy nosili zabawne koszulki i jedli o wiele za dużo.

Od wyjazdu mamy mieszkałam sama. Nie chciałam, żeby ktoś o tym wiedział. Udawało mi się jeździć naszym samochodem na niewielkie odległości, jeśli przymocowałam sobie konserwy do wyjściowych butów, żeby sięgnąć do pedałów. Z początku robiłam mnóstwo błędów, a jeśli ktokolwiek szedł chodnikiem na rogu Czterdziestej Dziewiątej i Pine po zmroku 3 marca 2013, to jestem mu winna przeprosiny.

Ale w końcu naprawdę zaczęło mi nieźle iść. Mogłabym nawet wziąć udział w rajdzie. I kiedy większość ludzi zgłaszała się do boovijskich raketowców, żeby przenieść się na Florydę, ja uznałam, że pojadę tam sama, bez niczyjej pomocy. Znalazłam trasę w internecie, co nie było tak proste jak kiedyś, ponieważ Boowowie zaczęli zamykać sieć. Według strony, którą znalazłam, miało mi to zająć trzy dni, ale większość kierowców nie jest tak dobra jak ja, no i nie jada mrożonek, żeby móc jechać bez przerwy. Przepchnęłam się przez tłum ludzi, mijając kobietę niosącą niemowlę w kryształowej wazie, mężczyznę z przegniłą skrzynką, z której na ulicę wypadały kolekcjonerskie karty bejsbolowe, i w końcu dotarłam na miejskie korty, gdzie wcześniej zostawiłam samochód.

Była to niewielka osobówka w kształcie i kolorze lodówki i raptem dwa razy od niej szybsza. Ale nie paliła dużo, a ja nie miałam nadmiaru pieniędzy. Wyczyściłam nasze konto, a zaścórniaków, które mama trzymała na dnie szuflady z bielizną w jajowatym pojemniku na rajstopy z napisem: „MARTWE PAJĄKI” (jakbym nie wiedziała od zawsze, że tam były pieniądze; jakbym nie miała ochoty oglądać martwych pajaków), było mniej, niż się spodziewałam.

Wrzuciłam torbę z aparatem fotograficznym i plecaki na tylne siedzenie i nagle poczułam straszliwe brzemie samotności. Rozglądałam się na wszystkie strony, patrząc na spanikowanych ludzi. Zobaczyłam faceta w kuchennych rękawicach trzymającego ruszt, na litość boską, za przeproszeniem. Nie wiem, kogo albo czego wypatrywałam – na pewno nie kota. Ale i tak na nią zawołałam.

– Świnka! – wrzasnęłam. – ŚWIIIIIIINKA!

Krzyczenie w miejscu publicznym „Świnka” zawsze zwraca uwagę, tego dnia było jednak inaczej. Co prawda po trzecim „Świnka” jakiś facet wykonał unik, ale w sumie nie wiem, o co mu chodziło.

W każdym razie w chwili kiedy wsiadałam do samochodu, gruba szara kotka przebiegła pędem przez ulicę i wskoczyła na tablicę rozdzielczą. Obróciła się i podsunęła mi pyszczek do podrapania.

– Och – powiedziałam. – Niech będzie. Chyba możesz jechać. Ale załatwiać się będziesz na postojach.

Świnka zamruczała.

W owej chwili uważałam, że przyda mi się jakieś towarzystwo, ponieważ nie spodziewałam się spotkać nikogo przez kilka dni.



Świnka

Założyłam, że autostrady będą puste, skoro prawie wszyscy decydowali się na raketowce.

Miałam rację i jednocześnie myliłam się.

Wiedzieliście, że koty nie lubią jeździć samochodami? No więc nie lubią, a w każdym razie mój nie lubił. Zanim ruszyłyśmy, wyzerowałam licznik, więc wiem, że Świnka przez pierwsze trzydzieści sześć kilometrów gapiała się przez tylne okno i syczała. Uczepiła się zagłówka pasażera jak halloweenowa dekoracja, wygięła grzbiet i napuszyła się.

– Uspokój się! – krzyknęłam, omijając porzucone na autostradzie samochody. – Jestem *naprawdę* *dobrym* kierowcą!

Przestała syczeć i zaczęła coś jakby warczeć. Wiecie, jak koty warczą. Jak gołębie, które za dużo palą.

– Mogłam cię zostawić w domu, zdrajczynie. Mogłaś sobie zamieszkać z twoimi cudownymi Boovami.

Zwykle mogę jednocześnie patrzeć na kota i prowadzić, ale samochód – nie wiem dlaczego – jakoś tak podskoczył na rozdartej oponie leżącej na jezdni, a Świnka pisnęła, zeskoczyła z zagłówek, wykonała kilka pętli po tylnym siedzeniu i przeleciała nad lewarkiem skrzyni biegów. Na koniec zwinęła się w kulkę pod pedałem hamulca.

– Ehem – wymamrotałam. Nacisnęłam delikatnie hamulec, usiłując ją stamtąd przegonić. Syknęła i zabrała się za puszkę przymocowaną do mojej podeszwy.

Zerknęłam na szosę, wyminęłam pusty motocykl i spojrzałam ponownie pod stopy.

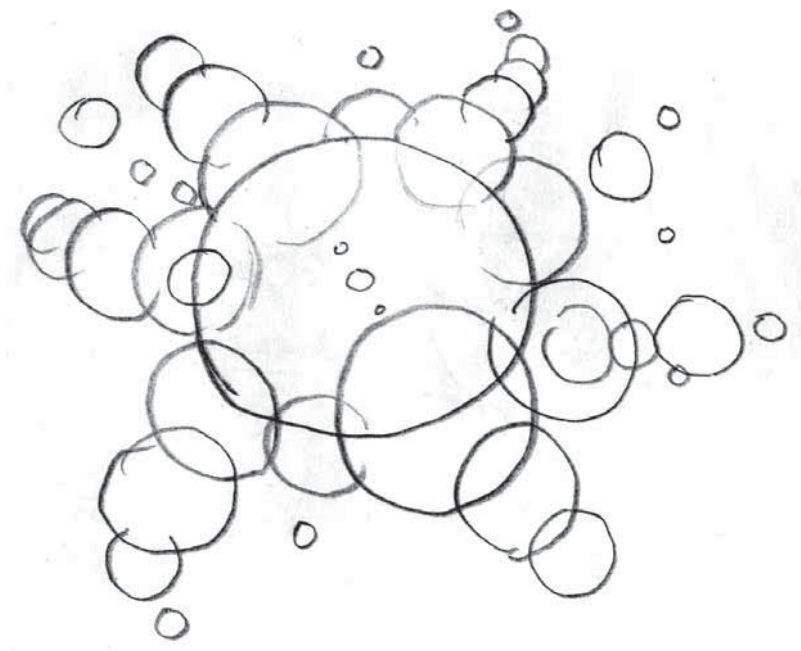
– Ej, Świnko – powiedziałam uspokajającym tonem (jednocześnie robiąc szybki unik przed furgonetką). – Wyjdź stamtąd... (cysterna)... Dam ci ciasteczko!

(Sportowy wóz. Czemu wszyscy po prostu porzucili swoje samochody?)

– Mrrr? – zapytała Świnka.

– Tak! Chcesz ciasteczko? Ciasteczko? Ciasteczko! – nuciłam w kółko niczym ptasi trel.

Świnka nadal się nie ruszyła, ale przede mną był spory kawałek pustej drogi. Zerkiałam tylko na wielką ciężarówkę daleko po mojej lewej i w tej właśnie chwili zobaczyłam jakiś ruch. To coś unosiło się w powietrzu nad przyczepą, leniwie kołysząc się w górę i w dół. Była to gromada baniek, może baniek mydlanych. Ale niektóre z nich osiągały rozmiary piłeczek tenisowych, inne piłek do koszykówki, a wszystkie czepiały się siebie i przepłatały wzajemnie, tworząc gwiazdę wielkości pralki. Coś w tym rodzaju:



To coś nie poruszało się na wietrze, ale po prostu opadało i unosilo się lekko, jakby było uwiązane niewidoczną smyczą do rury wydechowej wielkiej ciężarówki. Powędrowałam wzrokiem w dół tej rury i zobaczyłam coś jeszcze. A raczej kogoś jeszcze stojącego na drodze.

– Tam jest jakiś człowiek albo ktoś w tym rodzaju – powiedziałam do siebie i do Świnki. Ten facet, a może kobieta czy ktokolwiek to był, miał na sobie pomarańczową kamizelkę odblaskową, doskonale widoczną, i chyba coś w rodzaju jasnego plastikowego kasku, a ja pomyślałam: „Kombinezon przeciw promieniowaniu?”, po czym zbliżyłam się na tyle, żeby zobaczyć, że to jeden z nich. Boov.

– Okej... okej – wyszeptałam i poprowadziłam samochód, jak tylko mogłam najdalej na prawo, byle nie uderzyć w barierkę.

Boov zauważył moją obecność i zwrócił ku mnie to swoje dziwaczne ciało. Słońce odbijało się od jego kasku, ale wydało mi się, że uniosł rękę z dłonią ułożoną w sposób, który w całej galaktyce musi oznaczać stop. W sumie jednak trudno stwierdzić. Oni mają takie małe rączki.

Nie mogłam zahamować, by się zatrzymać, ale mogłam zdjąć nogę z gazu, więc powoli wytraciłam prędkość i zjechałam na pobocze, mamrocząc pod nosem pacierze.

Byłyśmy teraz naprawdę blisko, dość blisko, żeby dostrzec tę okropną płataninę nóg pod ciałem Boova i tę szeroką, płąską twarz wewnątrz kasku. Wykonał ponownie ten gest, tym razem z większym zdecydowaniem, i bardzo wyraźnie znaczyło to, że mam się zatrzymać. Uniosłam w odpowiedzi rękę, uśmiechnęłam się i utkwiałam wzrok w szosie. Nie chciałam na niego więcej patrzeć. Dlatego omal nie umknęło mojej uwadze, że drugie ramię Boova sięgnęło w dół do jego boku i wystrzeliło z powrotem w górę, trzymając coś w dłoni. Rozpoznałam natychmiast przedmiot znany z telewizji, jeden z tych okropnych pistoletów, które widywało się zbyt często, kiedy jeszcze usiłowaliśmy się bronić. Okropne pistolety, które nie wydają dźwięków, nie emitują światła. Wystarczy je skierować na człowieka i pół ciała znika, ot tak.

Cóż, pozostało mi jedynie docisnąć pedał gazu. Skuliłam się i dałam gaz do dechy, a samochód skoczył do przodu, o wiele zbyt wolno jak na moje potrzeby, ocierając się w dodatku o barierkę i sypiąc iskrami niczym sztuczne ognie w Dzień Niepodległości.

Boov krzyknął coś, czego nie dosłyszałam ani nie zrozumiałam. Usiłowałam być trudnym celem, kręcąc kierownicą jak wściekła i w ostatniej chwili unikając zderzenia z terenówką. Zerknęłam w prawe lusterko, ale okazało się, że wykręciło się na barierce, zerknęłam więc w lusterko wsteczne i zobaczyłam, że z terenówki niewiele zostało: kawał blachy z dziurą jak po wyjęciu gałki lodów łyżką. Spróbowałam więc jeszcze lewego lusterka, ale jego też już nie było. Odwróciłam się i zobaczyłam niknącego w oddali Boova, całkiem daleko. Nie ścigał mnie.

– O rany, Świnko – odezwałam się cicho, a Świnka wypełzła spod pedału hamulca, jakby wszystko było jej doskonale obojętne.

Chwilę później zjechałam na pobocze i zatrzymałam się, żeby obejrzeć samochód. Pistolet Boova anihilował moje lusterko, a w lewym tylnym oknie ziała dziura w miejscu, gdzie promień dostał się do auta. Wyciągnęłam szyję, żeby dostrzec, że w tylnej szybie była jeszcze większa dziura w miejscu, w którym promień wyszedł z samochodu. Obie były idealne, jak zrobione wykrawaczem w cieście.

– Nienawidzę ich – powiedziałam. – *Nienawidzę* ich. Miałyśmy niezłe szczęście, Świnko.

Ale Świnka nie słuchała. Spała, rozłożona na siedzeniu pasażera.

Dlaczego Boov strzelał? Nie miałam pojęcia – ja przecież tylko jechałam na Florydę, tak jak chcieli. Ale na siedemdziesiątym siódmym kilometrze zrozumiałam, dlaczego nikogo poza mną nie było na szosie. Nie było szosy.

Wyjeżdżałyśmy właśnie zza zakrętu, kiedy samochód podskoczył na dziurze. Pas bezpieczeństwa napiął się, kiedy rzuciło mną do przodu i z powrotem, aż poczułam ból w karku. Świnka zjechała ze swojego siedzenia, obudziła się na moment na podłodze samochodu i zasnęła z powrotem, nie ruszając się z miejsca.

Kluczyłam wśród kawałków asfaltu i ominęłam coś, co wyglądało nie jak dziura, ale raczej jak opróżniony basen. A za następnym zakrętem droga się skończyła. Moje małe autko stoczyło się z półki krawężnika do krateru pełnego ziemi i smoły, a ja rozpaczliwie kręciłam kierownicą, jednocześnie miażdżąc hamulec obutą w konserwę stopą. Odbijałyśmy się i wpadałyśmy na pogięte metalowe zwoje, które niegdyś były barierką, a następnie zsunęłyśmy się po nasypie, obróciły dwa razy i zatrzymały nagle na stacji benzynowej.

W powietrzu wokół samochodu unosił się pomarańczowy pył. Zaciskałam dłonie na kierownicy jak na kole ratunkowym. Świnka leżała na grzbiecie w zagłębieniu, gdzie szyba styka się z tablicą rozdzielczą. Nasze oczy spotkały się i kotka syknęła na mnie krótko.

A więc to tak. Nikt nie jedzie własnym samochodem, bo Bo-
owowie zniszczyli szosy. Oczywiście.

Wyczerpana odpięłam pas i wypadłam z samochodu. Świnka wyskoczyła za mną, przeciągnęła się i pognęła za jakimś owadem.

Omam nie zwymiotowałam. Czy można coś takiego napisać w szkolnym wypracowaniu? Że zwymiotowałam? Bo kiedy napisałam „omam nie”, tak naprawdę miałam na myśli „kilka razy”.

Kiedy się pochylałam, zauważyłam, że złapałyśmy gumę. Nie byłam pewna, czy mamy koło zapasowe, ale nie miało to

znaczenia, ponieważ i tak nie wiedziałabym, jak je zmienić. W kwestii naprawy mama nauczyła mnie tylko numeru pomocy drogowej, na który trzeba dzwonić, kiedy samochód przestanie jechać.

Dobra, to było mało sensowne, mimo to uznałam, że mogę równie dobrze spróbować zadzwonić do *kogoś*. Nie było wielkich szans, że ktoś odbierze, ale byłyśmy teraz za daleko od domu, żeby wracać na piechotę. Zajrzałam do schowka i znalazłam awaryjną komórkę, na której była tylko godzina rozmów i napis: „TO NIE JEST ZABAWKA”. Otwarłam klapkę, nacisnęłam przycisk włączania i telefon nagle ożył. Na drugim końcu linii bełkotały dziwaczne głosy.

– Przecież nawet jeszcze nie wybrałam numeru – mruknęłam i głosy ucichły. – Halo? – powiedziałam.

Głosy rozległy się znowu beczeniem i trzaskami, jakby jagnię chodziło po folii bąbelkowej. Stawały się coraz głośniejsze, jakby podekscytowane.

Szybko wyłączyłam telefon i zamknęłam klapkę. Miałam wrażenie, że trzymam w ręce coś obrzydliwego i obcego, więc wrzuciłam go z powrotem do schowka i przykryłam instrukcją obsługi samochodu.

„Instrukcja obsługi”, pomyślałam. „Może jest tam napisane, jak zmienić koło. Nie. Później. To może zaczekać”.

Usiadłam. Niebo było znów jasne i niebieskie. W oddali majaczyło nieznanne mi miasteczko. Najwyższym budynkiem był stary kamienny kościół z urwanym kawałkiem dzwonnicy. Tuż obok sterczały połamane słupy telefoniczne wyglądające jak zepsute marionetki. Siedziałam już dość długo.

– Może jest jeszcze jakieś jedzenie w sklepie – powiedziałam optymistycznie, rozglądając się za Świnką.

Dla was od kapsuły czasu: na stacjach benzynowych były zawsze sklepy z artykułami pierwszej potrzeby, wiecie: „Cola stoi tuż obok pączków i kuponów lotto”. Ludzie, którzy chcą zrozumieć, dlaczego ludzkość została tak łatwo pokonana, powinni przyjrzeć się takim sklepom. Prawie wszystkie towary pełne są cukru, sera albo porad, jak zrzucić nadwagę.

W środku było ciemno, ale spodziewałam się tego. Świnka podeszła za mną do drzwi, które otworzyły się z dźwiękiem dzwonka, a następnie do pustego sklepu. Półki były niemal puste, zapewne obrabowane, jeśli nie liczyć kilku spleśniałych bochenków chleba i dietetycznych jogurtowych batoników noszących szumną nazwę Batoniki Ekstra Fitness Plus z Wapnem. Na szczęście była tam również torba i kilka puszek kociego pokarmu. Usiadłam na zimnym linoleum i zjadłam jeden z różowych batoników, a Świnka dostała puszkę Przekąski Kapitańskiej.

– Nie sądzę, żebyśmy miały szansę dostać się na Florydę – oznajmiłam.

– *Miau?*

– Floryda. To tam jechałyśmy. Wielki stan pełen pomarańczy.

Świnka wróciła do konsumpcji, a ja odgryzłam kolejny kęs czegoś, co smakowało coraz bardziej jak wielka gumka do mazania.

– Może uda się tu zostać. Jesteśmy dość daleko od miasta. Może Boowowie nawet nie zauważą.

– *Miau.*

– Pewnie, że się uda. Możemy zamieszkać w czyimś domu. Albo w hotelu. W mieście jest pewnie pełno konserw.

– *Miau, miau?*

– Dobra. Skoro taka z ciebie spryciara, może podasz mi jeden powód, dla którego miałyby się nie udać?

– *Miau.*

– Och, odpowiadasz tak na wszystko.

Świnka zamruczała i ułożyła się do drzemki. Oparłam się o bankomat i zamknęłam oczy osłepione zachodzącym słońcem. Nie pamiętam, żebym zasypiała, ale kiedy się ocknęłam z bochenkiem chleba pod głową, na zewnątrz było już ciemno, a mnie zbudził dzwonek przy drzwiach sklepu.

Wstrzymałam oddech i wpełzłam pod regał. Zbyt późno przypomniałam sobie o Śwince, której nigdzie nie było widać. Coś poruszało się po opuszczonym sklepie; coś, czego kroki brzmiały jak werbel.

„Idź sobie, idź sobie”, powtarzałam w myślach, przekonana, że to Boov. To coś minęło mój regał, a ja dostrzegłam grono maleńkich słoniowych nóżek odzianych w niebieski gumowy kombinezon. Boov. Pewnie wysłany, żeby mnie znaleźć.

Nagle werbel ucichł. A wilgotny nosowy głos powiedział:

– Och. Cześć, kocie.

Świnka.

– Jak ty się dostała do środka?

Słyszałam głośne mruczenie Świnki. Zołza. Zapewne ocierała się teraz o wszystkie osiem nóg.

– Czy ktoś cię ... wpuścił do środka, co?

Serce waliło mi jak młotem. Jakby Świnka była w stanie się odezwać: „Taaa, Gratuity mnie wpuściła. Regał numer pięć”.

– Pewnie jest głodna – powiedział Boov do Świnki. – Chce, to podzielę się z tobą tą buteleczką syropu na kaszel?

Werbel rozległ się znowu. Obcy znów dokądś szedł. Wyrzalam spod regału w chwili, gdy wchodził w drzwi oznaczone napisem: „TYLKO DLA PERSONELU”.

Wysunęłam się spod półek i ani myśląc, pogałam ku drzwiom. Wypadłam ze sklepu z poślizgiem i brzękiem i pomyślałam: „No jasne. Dzwonek”. Zerknęłam szybko za siebie i pobiegłam dalej. Popędziłam ku samochodowi, porwałam torbę, po czym rzuciłam się ku żywopłotowi otaczającemu parking. Znalazłam się bezpiecznie za krzakami i wyrzalam spomiędzy liści akurat w chwili, kiedy Boov stanął w drzwiach sklepu. Kosmita przecisnął się przez drzwi i rozglądał, przeszukując parking w poszukiwaniu tego idioty, który zapomniał, że drzwi dzwonią. Następnie rzucił się biegiem, zobaczywszy mój samochód, i odwrócił się z uśmiechem do Świnki. Widziałam ją przez drzwi, opartą przednimi łapkami o szybę.

– Cześć, ehem?! – krzyknął Boov. Spoglądał ku rozwalonej autostradzie i pogwizdywał przez nos.

Usiłowałam stać się niewidoczna, usiłowałam powstrzymać serce od wściekłego bicia, a krew od dudnienia w uszach. Boov ruszył asfaltem ku czemuś nowemu, czemuś, czego wcześniej nie zauważyłam.

W rogu parkingu stała ta szalona rzecz wyglądająca jak wielka szpulka nici z rogami. Była cała z plastiku, niebieska i unosiła się jakieś dwadzieścia centymetrów nad ziemią.

– Nie chce ci zrobić krzywdy! – odezwał się znowu Boov. – Jeśli ty chce mnie odwiedzi, syropu na kaszel i biskopczików dla niemowląt wystarczy dla wszystkich!

Wskoczył swym przysadzistym ciałem na samą górę szpuli, zwieszając małe słoniowe nóżki wokół jej krawędzi. Wyciągnął



przed siebie małe żabki, chwycił się rogów i po kilku ruchach i skrętach niebieskie plastikowe coś wzniosło się pół metra nad ziemię i poszybowało nad stertą kamieni i chwastów ku autostradzie.

– Halo! – krzyknął Boov, odlatując. – Nie ma się bać! Boov już was nie zjada!

Dziwaczny skuterek Boova zniknął za nasypem, a ja skoczyłam w stronę sklepu – po co właściwie? Żeby zabrać Świnę? Zapewne wolałaby zostać z Boovem. Ale miałam tylko ją, a samochód nie pojedzie z pękniętą oponą, więc pozostało mi jedynie zniknąć w tym miasteczku, w nadziei że Boov nie będzie mnie zbyt gorliwie szukał.

– Musimy się zbierać, Świnko! – zawołałam, wpadając do sklepu. Żołądek trząsał mi się jak nerwowy dzwonek. Świnka usiłowała wybiec przez drzwi za kosmitą, jak sądzę, ale udało mi się ją złapać.

– Głupi kot.

Wrzuciłam do torby całą kocią karmę i dietetyczne batoniki i pognałam do samochodu. Postanowiłam sprawdzić jeszcze raz, czy mam wszystko, i spadać. Przy drzwiach od strony pasażera przypomniał mi się telefon; zastanawiałam się, czy powinnam go wziąć, i właśnie wtedy powzięłam wredny plan.

Świnka wierciła się w moich ramionach.

– Mrrruuummrr – powiedziała.

Roześmiałam się.

– Nie martw się. Nigdzie nie idziemy. Wrócimy do sklepu i zaczekamy na powrót twojego kumpla.

Świnka zasyczała cichutko pod nosem.

Powiem wam teraz, jak sobie wyobraziłam to, co się stało. Wyobraziłam sobie, że Boov pofruwa sobie przez chwilę nad autostradą: „Tamtaram – myśląc sobie – pewnie, mam nadzieję uda mi się znaleźć Gratuity czy cokolwiek to jest, zjem ją albo ją wydam, albo przeniosę na Florydę czy coś”. Potem Boov może sprawdzi w sklepie i może w moim samochodzie, a wtedy pomyśli: „Ho, ho, to pewnie tylko moja wyobraźnia, tam żadna dziewczynka, ja z pewnością głupi, beee, folia bąbelkowa, folia bąbelkowa”.

A potem Boov zaparkował swoją rogatą szpulkę i wrócił do sklepu, zastanawiając się, gdzie jest Świnka, i kiedy drzwi przeostały dzwonić, coś usłyszał. Pomyślał więc: „Co jest to?” i wszedł, żeby sprawdzić. A kiedy zbliżył się do działu z mrożonkami,

wiedział może, że to głosy innych Boovów, mimo że był taki głupi. I zobaczył, że jedna zamrażarka ma otwarte drzwiczki, mimo że wcześniej nie była otwarta, więc od razu do niej podszedł, zajrzał do środka i zabecztał. Może w tej właśnie chwili zauważył, że wszystkie półki z zamrażarki leżą na podłodze obok mojego telefonu, ale to nieważne, bo dokładnie wtedy kopnęłam go w kosmiczny zadek, aż wpadł do środka, a ja zabarykadowałam drzwiczki miotłą.

Boov podskoczył i odwrócił się do mnie. Z przyjemnością zobaczyłam wyraz całkowitego zdumienia na jego twarzy, a może przerażenia, kiedy przycisnął swoje szerokie oblicze do szyby, żeby przyjrzeć się osobie, która go złapała. Wykonałam taniec zwycięstwa.

– Dlaczego to zrobiła? – zapytał. Tak mi się wydaje. Trochę źle słyszałam przez szybę. Zastanowiłam się nagle, czy po jakimś czasie zabraknie mu powietrza. Ta myśl sprawiła, że poczułam się nieswojo i musiałam sobie przypomnieć, w jakiej znalazłam się sytuacji.

– Dobrze – szepnęłam. – Mam nadzieję, że zabraknie mu powietrza.

Żałowałam, że nie jest mu na dodatek bardzo zimno tam w środku, ale nie było prądu.

– Co? – zapytał słabym głosem Boov. – Co powiedziała ty?
– Oczywiście biegały mu na wszystkie strony jak małe rybki. Żabie paluszki drapały w szybę.

– Powiedziała, że dostałeś, na co zasłużyłeś! Ukradliście mi mamę, więc mnie udało się ukraść jednego z was!

– Co?

– Ukradliście mi mamę!

– Mimamę?

– MOJĄ... MAMĘ!

Boov jakby się zastanawiał nad tym przez sekundę, po czym jego oczy rozbłysły.

– Ach. „Moją mamę”! – oznajmił radośnie. – O co z nią chodzić?

Wrzasnęłam i kopnęłam w szybę.

– Aha. – Boov skinął głową, jakbym powiedziała coś ważnego.

– Ach. No więc... możeć ja już wyjdzie?

– Nie! – wrzasnęłam. – Nie wyjdzie! Nie możesz nigdy wyjść na zewnątrz!

Na te słowa Boov zrobił autentycznie zdumioną i spanikowaną minę.

– To... to... będę musiał strzelać mój pistolet!

Odskoczyłam, unosząc ręce do góry. W całym tym podnieceniu to nie przyszło mi do głowy. Zerknęłam w okolice jego biodra, jeśli takowe posiadał. Zmarszczyłam brwi.

– Przecież nie masz pistoletu!

– Tak! TAK! – zawołał, kiwając wściekle głową, jakby udało mu się czegoś dowieść. – NIE PISTOLET! A więc musiał... musiał...

Dygotał całym ciałem.

– STRZELIĆ LASERAMI Z GAŁEK OCZNYCH!

Wpadłam na regał. To było coś nowego.

– Strzelić laserami?

– STRZELIĆ LASERAMI!

– Potrafisz to zrobić?

Boov zawahał się. Poruszył niepewnie oczami.

– Tak – odpowiedział po kilku sekundach.

Skrzywiłam się.

– Dobra, jeśli strzelisz laserami z oczu, nie będę miała wyboru. Będę musiała... WYBUCHNĄĆ CI GŁOWĘ!

– Wy, ludzie, nie mogą umieją wy...

– Mogą! Też mogą! My tylko rzadko to robimy. Uważamy to za niegrzeczne.

Boov zamyślił się na chwilę.

– Tak to... potrzebować... rozejm. Ty nie wybuchła głowy, a ja nie używa NISZCZĄCE LASERY Oczne.

– Dobra – zgodziłam się. – Zawieszenie broni.

– Zawieszenie broni.

Kilka chwil minęło w całkowitej ciszy sklepu.

– Nooo... więc możeć ja wyjdzie te...

– Nie!

Boov wskazał na coś nad moją głową, stukając palcem w szybę.

– Mogę twój samochód naprawić. Ja widział, że zepsuty.

Skrzyżowałam ręce.

– A co Boov może wiedzieć o naprawie samochodów?

Prychnął.

– Ja jest Boov Główny Mechanik. Umieć naprawiam wszystko! Na pewno umieć naprawiam prymitywne ludziauto.

Nie podobał mi się sposób, w jaki odnosił się do mojego samochodu, ale naprawa była konieczna.

– Skąd mam wiedzieć, że cokolwiek zrobisz? Pewnie po prostu zadzwonisz po kumpli i odeślesz mnie na Florydę.

Boov zmarszczył coś, co zapewne było jego czołem.

– *Nie chcesz jedziesz na Floryda? Tam będą twoja ludzia.* Wszystkie człowiek postanowili przenoszą się na Floryda.

– Ej! Nie bardzo mieliśmy co postanawiać – odpowiedziałam.

– Tak! – wykrzyknął Boov. – Floryda!

Westchnęłam i przeszłam się po sklepie. Kiedy się odwróciłam ku zamrażarce, zobaczyłam, że Boov wziął do ręki mój telefon.

– Mogę z nimi porozmawiam – powiedział z powagą. – Mogę do nich natychmiast zadzwonię.

To była prawda. Mógł.

Odsunęłam miotłę od drzwiczek i otwarałam je.

Boov wyskoczył, a ja natychmiast wszystkiego pożałowałam, dopóki nie zorientowałam się, że wcale mnie nie zaatakował. To chyba był uścisk, ponieważ nie jestem w stanie wymyślić lepszego określenia.

– Widzi? – powiedział. – Boov i ludzi przyjaciele. Ja zawsze to mów!

Poklepałam go ochoczo po plecach.

Brzmi to jak szaleństwo, wiem, ale niespodziewanie poszukiwałam zapasów w miasteczku, a Boov zajął się moim samochodem. Nie muszę chyba już nawet dodawać, że Świnka została z nim.

Zajrzałam do pięciu opuszczonych sklepów i znalazłam krakersy, dietetyczne napoje mleczne, wodę mineralną, naprawdę suche bułki, lukrowane pączki, koncentrat pomidorowy, makaron, sół czegoś, co nazywało się: „W PŁYNIE!” i miało własną łyżeczkę, oraz dietetyczne batoniki „o smaku vaniliowym”, łamiące moją zasadę niejedzenia niczego, co ma niepoprawną ortograficznie nazwę. Boov powiedział mi, co lubi, więc wyniosłam również koszyk miętówek, krochmal, drożdże, kostki rosółowe, miętową nić dentystyczną i papier do drukarek.

– Hej, Boov! – zawołałam po powrocie. Dostrzegłam go pod samochodem, zawzięcie stukającego. Samochód, powinnam nadmienić, miał teraz trzy dodatkowe anteny. Dziury w szybach

jakoś znikły. Rury i przewody łączyły pewne części samochodu z innymi częściami samochodu oraz paroma elementami, które mogą opisać jedynie jako pletwy. Były one wykonane z metalu wyniesionego przez Boova ze sklepu. Na jednej z nich widniał obrazek przedstawiający mrożony napój i hasło: „Pychotka”.



Obok stała otwarta skrzynka na narzędzia, które leżały wszędzie dookoła – wszystkie dziwaczne.

– Jakaś straszna robota jak na jedno koło – powiedziałam.

Boov wysunął głowę.

– Koło?

Przez chwilę gapiłam się na niego, po czym obeszłam samochód. Koło nie zostało wymienione.

– Samochód teraz będzie latał dużo lepiej! – zawołał radośnie.

– Latał? – zapytałam. – Lepiej latał? On wcześniej w ogóle nie latał!

– Hmmm – mruknął Boov, wpatrując się w coś na dole. – Dlatego koła takie brudne.

– Zapewne.

– Mówi, że on musiał się toczyć?

– Tak – odparłam sucho. – Toczył się. Po ziemi.

Boov namyślał się nad tym przez kilka długich sekund.

– Ale... jak się toczyć z płaskim kołem?

Odstawiłam koszyk i usiadłam.

– Nieważne – powiedziałam.

– Słuchać – odezwał się Boov – teraz on się latał będzie zarąbiście. Ja użył części oddo mojego własnego pojazd.

Tu mnie zaskoczył, mówiąc „zarąbiście”. To było slangowe. Nie spodziewałam się po nim czegoś takiego. W dodatku to nie był popularny slang. Mało kto już tak mówił. W sumie nikt poza moją mamą i czasem mną. Pewnie dlatego pomyślałam o mamie i trochę mnie to chyba rozzłościło.

– Zjedz swoją nić dentystyczną, Boov – poleciłam, kopiąc koszyk w jego stronę. Nie przejął się specjalnie, ale zrobił, co powiedziałam. Wsysał nić jak spaghetti.

– Nie wymawia tego poprawnie – odezwał się w końcu.

– Czego?

– „Boov”. Wymawia to za krótko. Musisz to przedłużasz, jakby brałaby głęboki oddech. Bo-o-ov.

Przez chwilę przeżuwałam złość, po czym spróbowałam.

– Booov.

– Nie. Bo-o-ov.

– Bo-o-o-o-ov.



J.Lo ogląda aparat

Boov zmarszczył brwi.

– Beczy jak owca.

Pokręciłam głową.

– Dobra. Jak masz na imię? Będę ci mówić po imieniu.

– Och, nie – odparł Boov. – Żeby ludziewczyzna wymówi poprawnie moje imię, by musiałaby miała dwie głowy. Ale ja był wybrać ludzkie imię „J.Lo”.

Zduśliłam śmiech.

– J.Lo? Twoje imię na Ziemi to J.Lo?

– A-a – poprawił mnie J.Lo. – Nie Ziemia. Smeklandia.

– Co to ma niby być *Smeklandia*?

– To jest to, jak my nazwali ta planeta. Smeklandia. W hołd dla naszego wspaniałego dowódcy, Kapitana Smeka.

– Zaczekaj. – Pokręciłam głową. – Ejże. Nie możecie tak po prostu zmienić nazwy planety.

- Osoba, które odkrywają miejsca, mogą je nazywają.
 - Ale ona *nazywa się Ziemia*. *Zawsze nazywała się Ziemia*.
- J.Lo uśmiechnął się pobłaźliwie. Miałam ochotę go uderzyć.
- Wy, ludzie, za dużo żyją w czasprzeszły. My wylądowali na

Smeklandia dawno temu.

- Wylądowaliście w ostatnią Wigilię!
- A-a. Nie *Wigilia*. *Smekodzień*.
- Smekodzień?
- Smekodzień.

No więc tak dowiedziałam się, co naprawdę znaczy Smekodzień. Powiedział mi to Boov imieniem J.Lo. Boovom nie podobały się nasze święta, więc zastąpili je nowymi. Boże Narodzenie zmieniło nazwę na cześć Kapitana Smeka, ich dowódcy, który odkrył Nowy Świat dla Boowów, czyli Ziemię. To znaczy Smeklandię.

Nieważne. Koniec.

Gratuity,

interesujący styl całości, ale obawiam się, że zadanie nie spełnia wymagań. Kiedy recenzenci z Komitetu Narodowej Kapsuły Czasu będą czytać nasze opowiadania, będą szukać odpowiedzi, co Smekodzień znaczy dla nas, a nie dla obcych. Pamiętaj, że kapsuła zostanie odkopana za sto lat, a ludzie z przyszłości nie będą mieli pojęcia, jak to było żyć podczas inwazji. Jeśli twoje wypracowanie zwycięży w konkursie, będą je czytać, żeby się tego dowiedzieć.

Może powinnaś zacząć przed przylotem Boovów? Jest jeszcze czas na poprawki przed wysłaniem zadań konkursowych. Jeśli chcesz jeszcze raz spróbować, zostanie to rozpatrzone za dodatkowe punkty.

Ocena: dostateczny z plusem